



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

I zielony karnawał ma się już ku schyłkowi; wszystko się kończy na tym padole marności i niestałości, tylko spieka nieustanna zdaje się być bez końca, a skutkiem niej człowiek żałuje, że nie jest wydrą i nie może mieszkać w wodzie, a przynajmniej wlać w nią po same uszy, ilekroć mu gorąco zanadto dokuczy.

Zadna kania nie wołała z takim utęsknieniem deszczu, jak niżej ledwie podpisany, a z nim razem cały chór biednych, podwójnie spoconych rolników; przypuszczam, iż rolnicy pocą się w tym czasie dubeltowo, raz z przyczyn ogólnych przy temperaturze dwudziesto-kilko-stopniowej codziennie, drugi raz z przyczyn szczególnych na samą myśl, co się stanie z ich zbożem i jarzynami, jeżeli słońce tak dalej wszystko wypalać będzie, co się tylko na pnii, na grzędach i na gałęziach znajduje.

Powiadają, iż od niepamiętnych czasów w wielu okolicach już z końcem Czerwca będą się mogły zacząć żniwa.

Bóg raczy wiedzieć, co się z tym naszym klimatem stało; może się doczekamy na pocieszenie naszych zmarłych, że jak w krainie sfinków i krokodyli, nad szlamującym Nilem, dwa razy do roku będziemy siali i zbierali.

Zeby człowiek przynajmniej wiedział, za co jest teraz w takich opałach; chyba dla kontrastu z minioną zimą, która nas prawie pół roku trzymała pod śniegiem i ścisnęła mrozem niełitościwie.

Przed kilkoma dniami pewien obywatel — nie powiem z kąd — zapewniał mnie najuroczyściej, że przyczyną takiej spieki i suszy jest obłuzowa-

nie się jednej gwiazdy w systemie słonecznym i że dopóki cały mechanizm niebieski nie wróci znowu do równowagi, póty będziemy znosili coraz większe upały i smażyli się żywem na własnym sadle, aż się w skwarki pozamieniamy.

Mówił mi to z takim przekonaniem, jakgdyby był conajmniej Kopernikiem, albo w gwiazdach czytał, jak astrolog.

Zaprosiłem go na kawę mrożoną, aby się choć trochę ochłodził przed zupełnym stopnięciem i zaczęliśmy rozbiierać poważnie kwestyą: czy nie dałoby się owej obłuzowanej gwiazdy przymocować znowu na właściwym miejscu i przywrócić w ten sposób równowagi w wyższych sferach?

Okazało się, że wszystko na tem świecie jest możliwem, tylko potrzebaby na to dużego nakładu, ale w braku odpowiedniej gotówki i w braku energicznej inicjatywy, której nigdy nie mamy, gdy jej potrzeba, nic się zrobić nie da na razie.

Musimy tedy pocić się i oczekiwać powolnego skapania ze wszelkiego tłuszczu, którym narodził się w cwych siedmiu latach chłodnych, poprzedzających siedm lat gorących — i basta.

Nie śmiałem mojemu nowemu znajomemu ofiarować egzemplarza popularnej astronomii, z którejby się mógł być dowiedzieć wiarygodniejszych szczegółów o urządzeniu niebieskiego mechanizmu, albowiem byłoby mu to zamąciło spokój umysłowy nowym zagadnieniem: dlaczego tedy jest tak gorąco, skoro na niebie żadna gwiazda obłuzować się nie może, jak pierwsza lepsza śruba w jego młockarni, albo którekolwiek kółko w zegarku?...

Niechaj się pocziwcowi zdaje, że zna właściwą przyczynę naszej meteorologicznej klęski.

Człowiek jest tem szczęśliwszy i spokojniejszy, im mniej ma wątpliwości.

Nie bywa to wprawdzie ogólną zasadą, a przynajmniej zasadą bez wyjątków, bo oto np. pan Lysen i jego belgijscy współakcyonariusze kolei warszawsko-wiedeńskiej nie mają już od zeszłej

soboty najmniejszej wątpliwości co do tego, iż zamiast 13% dostaną tylko 9% dywidendy, a jednak nie są ani szczęśliwi, ani uspokojeni.

Na drugim walnem zebraniu, które się odbyło w dniu 15-go b. m. w myśli obowiązującej ustawy dla uregulowania dwóch najważniejszych kwestyi t. j. dywidendy i konwersyi, stała się rzecz najmniej przewidywana: panowie Belgowie nie mieli potrzebnej absolutnej większości do przeprowadzenia uchwał leżących w ich interesie i musieli się dać pobić większością kilku głosów tutejszych akcyonariuszów.

Stało się to za sprawą przypadku, który od początku świata płata takie figle i rozwiązuje takie sytuacje, o jakich się najlepszym komedyopisarzom nie śniło.

Wyobraźcie sobie, iż główny cechmistrz belgijskiego obozu p. Delamarre-Didot wystawił plenipotecyą na dwadzieścia głosów tak nieformalnie, iż musiano je przy skrutynium unieważnić; ponieważ zaś panowie Flamandy tym razem mieli tylko trzynaście głosów zapewnionej przewyżki według zadeklarowanych akcyi przed walnem zgromadzeniem, — zatem po unieważnieniu dwudziestu głosów p. Delamarre'a, szala się przeważała na naszą stronę i akcyonariusze nasi zyskali nagle większość o siedm głosów, którymi przeprowadzili uchwałę zniżenia dywidendy i powiększenia funduszu rezerwowego.

Monsieur Lysen et comp., ponieśli tedy porażkę, która ich zapewne zniechęci do dalszego spekulowania kosztem interesów żywotnych obecnej i obojętnej im instytucji.

Stało się bowiem według przysłowia: „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma“.

Oprócz finansowego zawodu, inne jeszcze kłopoty spadły na głowę Belgów; dotychczas fortowany przez nich prezes Rady zarządzającej nie został przez ministerium zatwierdzony, a na wypadek odrzucenia wyboru wytworzą się nowe

komplikacje, które do reszty zgębia bruxelskich aferzystów.

Po tem wszystkiem, co zaszło w sprawie kolejowej, możemy sobie przyznać, iż, jakkolwiek nie umieliśmy utrzymać się na zajętych stanowiskach i zbyt lekkomyślnie wypuściliśmy z rąk ster i losy tak ważnej instytucji krajowej, jak Kolej Warszawsko-Wiedeńska, to jednak potrafilimy się dzielnie bronić i szachować przeciwnika w warunkach bardzo niebezpiecznych i niewygodnych.

Może to będzie na przyszłość nauką, która nie pójdzie w las i nie zginie bez śladu.

Rezultat sobotniego posiedzenia wprowił mnie w tak różowy humor, — jakkolwiek nie jestem akcyonariuszem Drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, nigdy nim nie będę i nie staram się wcale o „sinekurę“, którą pewne organa naszej prasy wytykają przeciwnikom belgijskiego najazdu, — że omal nie pojechałem na wyścigi, aby za czyjemi plecami spróbować szczęścia na wyklinanym totalizatorze.

Ale nie pojechałem, poprzestawszy na przeczytaniu wszystkich dodatków do „Sportu“, z którego dowiedziałem się wielu wcale ciekawych rzeczy, a między innemi i tego, że wiosłarz płynący na swojej łodzi do Włocławka, robi tyle poruszeń wiosłem, ile ja np. robię poruszeń piórem, pisząc niniejszą Pogawędkę.

Gdybym tedy pióro zamienił na wiosło i zużył swoją pracę muskularną na Wiśle, mógłbym, zamiast siedzieć na miejscu i pisać wodniste felietony, co dwa tygodnie wodą zapłynąć do Włocławka lub do Sandomierza.

Przyznaję się, i to bez zarumienienia, że nie widziałem dotąd ani jednego wyścigowego konia na mokotowskim torze, nie przyjrzałem się ani jednemu komarowi zamienionemu w dżokeja, nie przegrałem ani jednego rubla na totalizatorze i poprzestałem na tem, iż mi pokazano zdaleka p. Niemcewicza, zwycięzcę wielkiego Derby na przedostatnich wyścigach, który zgarnął 3.000 rs. nagrody za szybkość swojego wierzchowca.

Nie byłem również na regatach, urządzonych zeszłej Niedzieli na Wiśle przez nasze Towarzystwo Wioślarskie z udziałem wioślarzy włocławskich.

*

*

*

Mam żal do Towarzystwa Wioślarskiego za to, że nie chciało w tym roku urządzić „Wianków“ i pozostawiło dobrej woli i ofiarności pojedynczych członków uświetnienie tradycyjnego obchodu, który swoją malowniczością zachwycał tyle razy Warszawę i sporo grosza przysporzył celom filantropijnym.

Nie chciało więcej robić „płatnego widowiska“ z Wianków i postanowiono zachować im właściwy charakter ludowego obchodu.

Dziwna rzecz, że to poszanowanie tradycji przyszło na myśl komitetowi wioślarskiemu dopiero teraz po kilkoletnich probach i doświadczeniach, kiedy publiczność warszawską przywykła niejako do owej wystawności i pięknych wrażeń, które jej dawał widok wspólnych ogniów sztucznych, korowodu łodzi iluminowanych, tańców, grup, obrazów na Wiśle w wigilię św. Jana.

Widocznie odechciało się komitetowi zajmować kłopotliwym urządzaniem obchodu, więc się rzekł inicjatywy i zostawił członkom całą sprawę na ich własne ryzyko.

Nic łatwiejszego.

*

*

*

Maluczko, a Warszawa zapadnie w swoją letnią drzemkę, pożegnawszy wędrowników, powietrzników, młodzież szkolną i uniwersytecką, wędrownie jaskółki z „towarzystwa“ i mizerne biedactwa wysyłane obecnie przez dr. Fritschego na letnie kolonie.

Będzie nieznośnie, jak coroku: pusto, głucho, gorąco i nudno.

Jedynym pocieszeniem dla ziewającego mieszczucha na bruku w sezonie ogórkowym i podczas kanikuły, będą... ogródki.

Jest ich aż cztery, według zapowiedzi i we wszystkich pustki, według przewidywania. Dwie

trupy wyróżniają się najkorzystniej i rywalizują z sobą, jak dotąd, szlachetnymi środkami.

W Wodewilu teatr poznański pod dyrekcją pp. Trapszy i Jankowskiego posiada kilka prawdziwych talentów i siły rutynowane; znać po grze, po reżyserii, po wystawie, że to nie „buda“ wędrownia, w której zbieranina aktorów pokazuje sztuki i hece wyprawia.

Odnacza się też Wodewil bardzo korzystnie wśród innych scen ogródkowych doborowym i tylko oryginalnym repertoarem.

Tosamo możnaby powiedzieć o teatryku w Belle-Vue, w którym grywa towarzystwo łódzkie pod dyrekcją p. Lucyana Kościeleckiego. Personel liczny, zarówno do komedii, jak i operetki, wystawa staranna, dobór sztuk przygotowanych do wystawienia znaczny, chęci najlepsze; ale cóż z tego!... tu i tam pustki.

Publiczność nasza jest kapryśną i niekonsekwentną. Kiedy ją karmią farsami, bombami, tłustą operetką, — sarka, ale chodzi do teatru; gdy zaś podają jej czyste i dobre nowale, — odwraca się obojętnie i ramionami wzrusza.

Miedzy prasą a publicznością teatryki są niby miedzy młotem a kowadłem.

Prasa im krzyczy nad uchem i grozi ostremi piórami:

— Dzieci, bądźcie przyzwoite, szanujcie sztukę, nie psujcie smaku, bo was chłostać będziemy za karę, aż wam życie obrzydnie.

A publiczność ze swojej strony woła:

— Dawajcie co zabawnego, „pikantnego“ śmiesznego, bo my się przy piwie nudzić nie chcemy w ogródku!

Co począć?... panowie dyrektorzy trzymają się, póki mogą, ale gdy im niepowodzenie zanażdo docisnie, ratują się przez sam instynkt zachowawczy i idą za głosem publiczności, bo ona daje utrzymanie i chleb, a prasa tylko rozgłos i kilkodniową sławę.

Publiczność zatem najwięcej winna, że nie podtrzymuje dobrych chęci i zamiarów, jak np. w roku bieżącym.

— Za dużo teatryków — odpowiadają na to sześć stałych scen na lato oprócz cyrku, — to za wiele.

Zapewne, argument słuszny; konkurencja za trudna, ale na to znów z rozpaczliwą miną mówią aktorzy i dyrektorzy trup prowincjonalnych:

— Bójcie się Boga, pozwólcie nam wytchnąć na bruku warszawskim, odżywić się, odświeżyć po naszej włóczędze, chodzi nam o kawałek chleba i o słowo poważniejszej krytyki; tak: krytyki, bo chociażśmy biedne paryasy Melpomeny, ale mamy także nasze ambicje artystyczne, chcemy usłyszeć sąd poważnych znawców, łakniemy tych kilku wierszy drukowanych o naszej pracy, naszych zdolnościach, naszych aspiracjach. Nie zamykajcie nam drogi do Warszawy na lato, bo prowincja nas zgłodzi, a brak zachęty zmarnuje do reszty!

To także prawda.

*

*

*

Przy rozmaitych wadach i ujemnych stronach teatryki ogródkowej u nas miesza jedną zaletę, której nie posiada reżyseria naszych scen stałych; oto okazują wielką ruchliwość i inwencję w odświeżaniu repertoaru. W ciągu sezonu więcej wystawiają stosunkowo nowości oryginalnych i tłómaczonych, niż Teatr Rozmaitości i Teatr Nowy przez cały rok; umieją wynaleźć sztuki i pozyskać autorów, a przedewszystkiem pracują szybko.

Pod tym względem robią konkurencją scenom warszawskim stałym.

Oto np. w pierwszych dwóch tygodniach poznaliśmy dzięki ogródkom dwie sztuki oryginalne: Blizińskiego czteroaktową komedię: „Szach i mat“ zakurzoną już kilkoletnim pyłem na pulkach biblioteki Rozmaitości, i p. Przybylskiego: „Dwór we Włódkowicach“.

Czyż to nie scena warszawska miała obowiązek wyprzedzić inne w wystawieniu tych rzeczy?...

Być może, iż zdaniem krytyków, sztuka Blizińskiego nie dorównywa „Panu Damazemu“ i „Rozbitkom“, ale znać w niej pazur talentu prawdziwego komedyopisarza z krwi i kości, który nie może napisać sztuki tak słabej, aby jej scena polska wystawić się obawiała.

Mówiłem zresztą już kiedyś o tem, wykazując fatalne skutki, jakie wywiera podobne lekceważące traktowanie autorów z talentem i wyrobioną sławą: nie chcę się przeto powtarzać.

Co do p. Przybylskiego, ten mniej ma powodu uskarżania się na scenę, ale też i scena autorowi „Wicka i Wacka“ zawdzięcza niejedno kassowe powodzenie.

Ostatnia jego komedia „Dwór we Włódkowicach“, grana w Belle-Vue świadczy o ciągłym postępie i rozwoju autora. Widać, iż pamięta on o uwagach krytyki, stara się pogłębiać swoje temata, pracuje uważniej, obserwuje pilniej, nie porzucając lekkiego rodzaju komedii, więcej do krotochwili zbliżonej.

We „Dworze“ jest kilka figur wybornych, podpatrzonych z natury, jest drugi i czwarty akt, napisany z wielkim humorem i werwą komiczną, z rzeczywiście talentem i znajomością rzeczy.

Ta werwa słabnie, a właściwie niepotrzebnie ustępuje niekiedy miejsca sentymentalizmowi, który u Przybylskiego nosi cechę zawsze wymuszoną, cechę sztucznego nastroju. Natomiast jest szczerem i swobodnym tylko, gdy się śmieje i dowcipkuje, kiedy jest tym zabawnym Zyziem, który w kółkach koleżeńskich rozśmieszać umie nawet najbardziej żółciowych hypochondryków.

*

*

*

Jest dla mnie pewne podobieństwo rodzaju i humoru między sztukami Przybylskiego a rysunkami i obrazami Kostrzewskiego.

Kto chce się im dobrze przypatrzeć, niechaj idzie na wystawę w salonach p. Krywulcia; znajdzie tam paręset szkiców, akwarel, obrazów olejnych, zebranych w jedną kolekcję, a przedstawiających część twórczości pana Franciszka w ciągu lat czterdziestu. Wszystkiego niepodobna było zebrać; trzeba by osobną galerią złożyć z tych prac, które wyszły spod ołówka i pędzla artysty od czasu, gdy pierwszy zaczął tworzyć naszą dzisiejszą humorystykę ilustrowaną.

Od *Wolnych żartów* i *Szpargatów* zprzed lat trzydziestu, do *Kuryera świątecznego*, *Muchy* i *Kolców*, prawie co tydzień sypał dowcipy i koncepta, zasilał nasze tygodniki obrazkowe swojemi rysunkami, ilustrował Wilkońskiego ramotki, a oprócz tego malował mnóstwo obrazów większych i mniejszych rozmiarów; żywotność jego talentu nie wygasła do dnia dzisiejszego. Siódmy krzyżyk przecież dźwiga na swoich barkach, mimo to pracuje, jak dawniej, i nie odpoczywa wcale.

Z okazji wystawy zbiorowej, która była bardzo dobrym pomysłem p. Krywulcia, rozpiśały się o Kostrzewskim wszystkie nasze dzienniki z dziwną harmonią zgadzając się w pochwałach i uznaniu talentu artysty, który pierwszy w swoim rodzaju zajął oryginalne, całkiem odrębne miejsce w historii naszej sztuki.

Charakterystyka była najwybitniejszą zaletą jego rysunków, a zaletą charakteru artysty było to, że dla śmiechu nie poświęcił nikogo, rysowanego paszkwilu i krzywdzącej karykatury nie zrobił ani jednej, nie skrzywdził i nie dotknął niczyjej drażliwości, a umiał rozśmieszyć i zabawić swoim szczerem, pogodnym, optymistycznym humorem.

*

*

*

W tym samym czasie obchodzono jubileusz innego artysty, rówieśnika Kostrzewskiego, który w innym kierunku zasłynął jako specjalista i wielkie zasługi położył około rozwoju naszej sztuki. W Krakowie publiczny hołd złożono Juliuszowi Kossakowi, znakomitemu akwareliście polskiemu. *Tygodnik Ilustrowany* poświęcił mu cały numer.

Kolledzy, uczniowie i wielbiciele artysty uczyli bardzo uroczystą rocznicę czterdziestą jego zawodu. Ofiarowano mu piękne album, piękny biust Rygiera, mnóstwo życzeń pisanych, telegrafowanych, drukowanych; podejmowano go, składkową wieczorą, podczas której wygłoszono kilka świetnych toastów.

Jest przecież jeden dział malarstwa, w którym mistrz nie przestając być artystą polskim, jest zarazem uniwersalnym: jestto dział koni. Tutaj czują z nim razem: Arab, Anglik, Francuz, Pers i Andaluzjczyk, bo tak dzielnie charakteryzuje rasę, że każdy swoje pozna. Co tu mówić o rasach! Kossak charakteryzuje indywidualność każdego konia tak wiernie, że gdy namaluje pułk kawalerii jednomaścistych koni, to każdy szeregowiec pozna swego wierzchowca. Pod tym względem nikt dotąd Kossakowi nie dorównał...

„Kossak ma jeszcze jedną wielką zaletę, a jest ona dość rzadką pomiędzy artystami, żeby o niej można było zamilczeć. Niezmiernie jest jej znaczenie zwłaszcza dla młodszych, których podnosi i zachęca: Kossak jest najlepszym kolegą. Każdego, młodszego czy starszego, zdolnego czy mniej zdolnego, malarza lub rzeźbiarza rad widzi, każdemu daje dobrą radę i dobre słowo. Dla tego to złączyliśmy się dziś wszyscy w jednej wspólnej myśli. Senior malarzy polskich, dzielny artysta, wierny przyjaciel, szczerzy kolega — niech żyje!..“

W obchodzie jubileuszowym... w albumie artystów pamiątkowym brakowało tylko Matejki. Czy wielki nasz mistrz nie mógł się tam zmieścić, gdzie chodziło o uznanie cudzej zasługi?..

Quis.

*

*

*

Zmarł człowiek, który przez siedmnaście lat pracował przy *Bluszczu*, jako *metteur en page*, sam składający go do druku i czuwający nad tem, aby — według porównania Juliusza Słowackiego — żadnemu dziecku nigdy na Srodę, a obecnie na Czwartek — dzień wychodzenia pisma — sukienki nie zbrakło.

Z żalem odprowadzaliśmy nieboszczyka dnia 16 b. m. w bardzo licznej gronie jego kolegów i bliższych znajomych na Cmentarz Powązkowski; z żalem rzucaliśmy grudek ziemi na trumnę uczciwego człowieka.

W ś. p. Józefie Janiszewskim *Bluszcz* znajdował zawsze pracownika nieustraszonego w pracy a inteligentnego. Pilny, rozsądny, rozważny, stał aż do końca na stanowisku, dopóki go długoletnie cierpienie zupełnie już z nóg nie zważyło.

Jako człowiek umiał czuć i myśleć, a żyć porządnie, tak, że mógł być przykładem dla wielu wyżej od niego stojących. Umiał też sobie zaszkarbic życzliwość kolegów a nigdy nie zmaczone uznanie tych, którzy mu zapewniali ekonomiczne warunki pracy i zarobku.

Od roku 1844 aż do końca 1888 nieprzerwanie pracował ś. p. Janiszewski w zakładach Samuela Orgelbranda, prowadzonych od lat 20 przez jego synów. W swoim czasie kierował składaniem wielkiej *Encyklopedyi powszechnej* S. Orgelbranda. On również jako naczelny pracownik składał *Pismienictwo polskie* Maciejowskiego. Uczony autor, umiejący cenić dobre oko, rękę i umysł zecera, w T. III nazwisko jego wraz z dziełem swoim przekazał późniejszej pamięci w umyślnym podziękowaniu za wytrwałość, pilność i dokładność w pracy.

Takisam obowiązek spełnia dziś *Bluszcz*, posyłając zasłużone wspomnienie za zmarłym pracownikiem.

WYSTAWA PRACY KOBIECEJ w Muzeum Przemysłowo-Rolniczem.

(Dalszy ciąg).

Miedzy wystawczyniami koronek publiczność szukała i nie znalazła szkoły koronek p. Maryi Rudominowej z wsi Gromadnice (powiat Opatowski) i p. Maryi Skłodowskiej ze Skalbierza. Czyżby przestały istnieć? Byłaby to szkoda wielka, bo przemysł koronkarski, rozwinięty po wsiach i małych miasteczkach, jest dobrodziejstwem dla kobiet miejscowych. W miastach większych, w ogniskach handlu i przemysłu, kobieta potrzebująca zarobku, nawet przy wielkiej konkurencji zawsze go łatwiej znajdzie, niżeli na prowincyi, i ztąd koronkarstwo, które bez szczególnych przyrzędów, w domu, pojedynczo, produkuje i dopiero wyroby swoje do miast wysyła — szczególnież pożytecznym być może. Szkoła skalbierska uczyła i haftu białego, który znajduje się w tychsamy, co koronkarstwo, warunkach, aby przecież pracownie prowincjonalne istnieć i pomyślnie rozwijać się mogły, potrzeba, aby na wyroby swoje miały zbyt zapewniony w wielkich miastach, gdzieby już uprzednio stosunki zostały zawiązane i zkad przychodziłyby zamówienia, a przynajmniej wskazówki pewne, na co pokup znaleźć się może. Na takichto warunkach istnieje we Francyi koronkarstwo, a w Belgii ręczny haft biały, i jest to dziś dążeniem ogólnem wszelkiej fabrycznej i rzemieślniczej pracy, aby produkować po wsiach oile można, czyniąc miasta jedynie punktami handlu na zbyt.

U nas podobnie należy najpierw ze składnikami miejskimi przy okazaniu próbek umowę zawrzeć, a potem dopiero na podstawie danych, choć przypuszczalnie pewnych, produkować. Inaczej nigdy się pokup na wyroby pracy pojedynczych jednostek u nas nie ustali, bo kupiec nie może liczyć na to, co niepewnem jest i od przypadku zawisłem. Fabryka, szkoła wyrobów, składnik miejscowy, musi uprzednio pewność tę na podstawie zawartej umowy kupcowi dać, bo inaczej, niemogący szukać przedmiotów rozrzuconych po kraju w stosunki z dostawcą zagranicznym wchodzi i towar ztamtąd sprowadza. Tak szkoły, jak i fabryki wyrobów kobiecych, jeżeli własnego sklepu w miastach mieć nie chcą lub nie mogą, muszą stosować się do tych warunków niezbędnych. Praca kobieca na zbyt nigdy też pomyślnie się nie rozwinię, nigdy szczęśliwych wyników nie przedstawi i poza zakres ograniczonych stosunków prywatnych nie wyjdzie, póki kobiety nie nabędą pewnych wiadomości handlowych.

Każda szkoła, każda pensja dziewcząt dawać im to powinna, choć w zarysach ogólnych, bo tym sposobem uczennice nie tylko pewne wiadomości w tym kierunku otrzymają, ale wiedzieć będą, że przy każdym przedsiębiorstwie należy im o tej stronie rzeczy pamiętać.

Kwiaciarnictwo, które rozwinęło się u nas bardzo pomyślnie w czasach ostatnich, i z jednej strony zatałowało najzupełniej dowóz zagraniczny, francuzki, z drugiej obiecywało pracę na zbyt, do Cesarstwa, na Wschód, na zadziwiający sposób cofnęło się od wystawy. Na ostatniej przemysłowo-rolniczej wystawie z 1885 roku przedstawiło się firm cztery: Lotha, Olendzkiej Maryi, Siwińskiej Wandy i Szymkiewiczowej Antoniny, obecnie przecież jedną i jedyną wystawczynią jest p. Siwińska. P. Olendzka i pracować i żyć przestała: odeszła na odpoczynek wiekiasty, ale firma Loth, choć jest meżką, mogła wyroby pracownic swoich przedstawić; p. Szymkiewiczowa mogła również wystąpić z okazami swemi, które głos ogólny do pierwszorzędných zalicza i które na obcych wystawach się produkują. Czy to lekceważenie rynku miejscowego i miejscowego uznania? Przesażać trudno, bo mogą tu mieć miejsce różne okoliczności poboczne, w związku z wystawą nie

będące, niemniej ten brak wystawczyń w gałęzi pracy szczególnież już kobiecej, zadziwia. Czyżby to sprowadził zbyt zapewniony i bez tego pomocniczego środka zwrocenia uwagi na wyroby swoje? Ale w przedsięwzięciach, które noszą już na sobie charakter publiczny, występować powinno jeszcze coś więcej: względ obywatelski, aby wśród okazów produkcji krajowej do szeregu stanąć i swoją osobistość pracującą zaznaczyć. Chlubny to jest popis z pracy, która stanowi coś o dobrobycie kraju, o jego znaczeniu wśród innych i kto się na wystawie zapatrywać umie z tego punktu, podnioslejszego już, niż sam interes handlowy, przyzna, że taka nieobecność — obojętność się wydaje...

P. Siwińska za swoje przepiękne kwiaty, róże zwłaszcza, otrzymała wielki medal srebrny. Przyszło go przecież bynajmniej nie dlatego, że konkurencji nie było, bo otrzymana nagroda jest tylko potwierdzeniem medalu, danego tej pani na przeszłej wystawie z 1885 r.

Medal złoty, jedyny, na wystawie tegorocznej, otrzymała p. Helena Babczyńska z Warszawy, za zegarki. Wystawczyni kształciła się w Szwajcaryi, w Genewie, dokąd jeszcze wrócić zamierza, przecież po to tylko, aby wydoskonalona wyżej w zawodzie swoim osiedliła się w Warszawie i tu pracowała. Czytelnicy naszego pisma wiedzą, że zegarmistrzostwo było w niem oddawna zaliczone do gałęzi pracy ze wszech miar odpowiednich kobiecie, więc też obok zaszczytu, jaki daje przyznanie najwyższego na wystawie odznaczenia, p. Babczyńska może uczuć to bardzo słodkie zadowolenie, że otwiera u nas kobietom drogę pracy dobrej: takiej, która ich nie wykołaja, nie staje do sporu z naszym tradycyjnym pojęciem przetrwania kobiecego, całość kobiecych.

Jedwabnictwo, mogłoby być korzystną gałęzią pracy kobiecej na wsi, przy stosunkowo małym nakładzie pracy, przy małych wydatkach pieniężnych na urządzenie go. Pan Bogucki z Bogucina pod Warszawą chcąc dać poparcie temu przemysłowi, nie tylko rad i wskazówek potrzebnych z obywatelską gotowością udziela każdemu, kto ich od niego zażąda, ale i jedwab w kokonach kupuje, wskazując obok tego drogie, jaką można go korzystnie we Francyi spieniężać. Przecież ten przemysł, najdoskonalej już kobiecej, nie chce się rozwijać u nas i jedwabnictwo ma tylko trzy wystawczynie, — wszystkie nagrodzone. P. Justyna Błociszewska z Olszannicy już niejednokrotnie za ten użyteczny przemysł domowy była nagradzana i posiada przyznane jej na poprzednich wystawach: dwa listy pochwalne, medal srebrny, medal złoty, obecnie zaś przybył jeden jeszcze: medal srebrny za staranne rozwijanie jedwabiu. Jakiem jest miejsce jedwabnictwa wśród ogólnego gospodarstwa kraju, jak zaliczyłby się dądo do gałęzi jego ważnych, gdyby otrzymało rozwój należyty, poświadcza fakt, że na ostatniej wystawie przemysłoworolniczej w r. 1885 wśród sześciu konkursów dla ogólnego postępu produkcji krajowej w kierunku przemysłoworolniczym, mieścił się konkurs jedwabnictwa z dziewięciu pozycjami: w zakresie hodowli jedwabników, produkowania jedwabiu i przerabiania go domowego. Nad ustanawianiem konkursów owych naradzały się nasze pierwszorzędne powagi w kierunku gospodarstwa i przemysłu krajowego. Zapewne więc nie dopuszczonoby się pomieszczenia tu czegoś, co jest zabawką, jak nieraz nazywa się u nas jedwabnictwo, które we Francyi i Włoszech jest w dziale swym pierwszym: produkowania kokonów, specjalnem zajęciem kobiet i utrzymaniem tysięcy ubogich wieśniaczek. Jedno drzewo morwowe pozwala otrzymać taki już rezultat, że utrzymać się może z zarobku jedwabniczego jedno życie ludzkie, i ztąd we Francyi, w prowincyi, gdzie przemysłowi jedwabniczemu lud poświęca się na wielką skalę, morwa zowie się *drzewem złotem*.

Różnica klimatu nie tu wcale nie znaczy, jak to według informacji najwiarogodniejszych wykazywało wielokrotnie pismo nasze. Czas, w którym morwa rozwija się u nas, już jest tak ciepłym, jak tego potrzeba dla jej doskonałego uliszczenia, a rośnie ona u nas pomyślnie na całym obszarze kraju, prócz prowincyi najdalej już na północ-wschód posuniętych. Plantacje jej najdoskonalej się udają.

Przy wzmagającej się potrzebie pracy dla kobiet samotnych, panie wiejskie znalazłyby zapewne chętne w tej pracy pomocnice, a nawet wyręczytelki zupełne. Wspomniany wyżej pan Bogucki z Bogucina (gmina Mokotów) nauki obchodzenia się z jedwabnikami i następnie kokonami udziela corocznie w czasie odpowiednim. Bliskość Warszawy taka, że uczennice w mieście zamieszkałe uczę się tam mogą przy bardzo ułatwionej i niekosztownej komunikacji, czynią naukę najzupełniej przystępną.

Mleczarstwo, stanowiące także jedną z bardzo ważnych i zawsze zyskownych gałęzi kobiecej pracy gospodarskiej, dla którego również na wystawie przemysłowo-rolniczej urządzono konkurs, ledwo że dało znać o sobie przez wystawczyń cztery, które się godzi dać poznać czytelnikom. Sery wystawiło pań trzy: Dobiecka Jadwiga z Rozchowa, hr. Felicja Plater z Długich, Świeżyńska Marya z Janowic, p. Walewska z Dzierzbic masło z centrafugi.

Pszczelnictwo miało wystawczynię jedną i jedną: p. Bratkowska Marya z Janowic, która wystawiła plaster miodu, pszczołę roboczą i matkę (królową) roju. Jeżeli w dziale konserw, przetworów owocowych i tem podobnych gałęzi domowego gospodarstwa kobiety, nie sprzyjała ich wystawie pora, to dla gospodarstwa nabiałowego, dla pszczelnictwa, choćby w samej produkcji wosku, dla okazów rękodzielnictwa domowego, które właśnie przez całą zimę pracuje, była ona bardzo przychylną. Ma przecież wiejskie gospodarstwo kobiece przedstawicielkę, dla której można zawołać „i swoich czasów nie obwini... sprawozdawca. Jest nią p. Emilia Hube z Nowej Wsi (Powiat Grójecki) budząca wystawą swoją wśród zwiedzającej publiczności takie żywe i przychylne zajęcie, że sprawia to przyjemność, nie tylko już ztąd, iż rzecz godna uznania, uznanie to znajduje, ale ujawnia się przez to rozum społeczny, który na polu pracy kobiecej umie cenić to, co jest rzeczą podstawową — pracę kobiety w rodzinie, w domu.

Przemysł lniany, tak u nas od pewnego czasu zaniedbany na zasadzie, jakoby się nie opłacał, wystąpił tu w obszernem zastosowaniu przerobu swego: w płótnie na prześcieradła, worki, ściierki, ręczniki pasowane, serwety, portyery wyszywane (przełiczone jako gust) Obok tego cała produkcja tkaniny lnianej, ułożona metodą pogładową i przeprowadzona przez trzydzieści kilka odmian, poczynając od nasienia do wielce ozdobnej serwety z tego materiału, mogła zatrzymywać godziny całe kogoś, coby na nią patrzył z uwagą na jej pożytki gospodarcze w rodzinach ziemianskich. Dalej pierze i puch z własnego drobiu, włosie ze swego inwentarza, zioła lecznicze z roślin dzikich, jako też dla handlu hodowanych — tworzą razem takie wyborne przedstawienie, czem być może praca gospodyni wiejskiej, że budzi to dla wystawczyń szacunek i uznanie wszystkich, którzy znaczenie pracy wiejskiej dla dobra ogółu rozumieją.

Ale to nie wszystko jeszcze: wystawczyń w deklaracji swej pisze, że wystawione przedmioty nie obejmują całego zakresu jej pracowitego trudu: w gospodarstwie nabiałowym obywateli ona bez pośrednika (pachciarza) i sama ten dział pracy prowadzi. Podobnie dzieje się z ogrodem. I tu ona, nie sadownik, owocowe przemysłem się zajmuje, produkując konserwy, soki, kompoty, które obok wędlin, jak pisze z dumą pocziwą, z dumą dobrą naszych matron dawnych: „zdobyły sobie pewną sławę na rynku warszawskim.“

Wiemy z najpewniejszego i niezawodnego źródła, że praca tej znacznej pani przynosi rocznie czystego zysku 3.000 rs. Brutto daje ona 6.000 rs. co też wiele znaczy, bo jest to summa znaczna grosza obrotowego, który w ruchu gospodarczym jest rzeczą wielkiego znaczenia. Wprawdzie kilka-milowa zaledwie odległość Nowej Wsi od Warszawy coś się do tego pomyślnego stanu rzeczy przykłada i na pewne zwiększenie zysków wpływa, ale jest to tylko pomoc, jest ułatwienie, niejaki wzmoczenie dochodu: jądrem rzeczy głównem jest i może być jedynie praca gospodyni. Wiecznie prawdziwem będzie przysłowie, że bez pracy nie ma kołaczy, a czem ta praca być może dla

dobrobytu rodzin ziemianskich, mamy dowód niezbity. Wobec upadku gospodarstwa rolnego, w obec zmienionych warunków handlu zbożowego — konkurencji, jaką na rynku zbożowym Anglii czyni nam pszenica indyjska, gospodarstwo nazywane przez Francuzów: „la petite culture“ nabiera wagi wielkiej. Każdy dom rodzinny powinien stać się pewnego rodzaju fortecą, wałem broniącym oile można przystępu wydatkom i przemysł domowy kobiety podnosi się wielce wobec tego stanu rzeczy w znaczeniu swoim.

Jest w tem dużo winy męskiej, że wiejskie panie porzuciły wiele tradycyjnych gałęzi pracy domowej. Odmawiano im pomocy w robotniku, dowodząc, że gra nie warta świecy, że zachód ten pracownicy nie opłaca się, że wreszcie nie warto troszczyć się kłopotliwie o rzeczy tak małe. Przecież w zakresie spraw ekonomicznych niema rzeczy małych, a są tylko drobne, które zebrane razem tworzą duże, a bywają okoliczności, wśród których stają one w związku z Hamletowem: *być lub nie być!*... Dla utrzymania się na kawałku ziemi, wziętym po ojcach, dla zostawienia go z kolei dzieciom swoim, godzi się okrucy najdrobniejsze wybierać, godzi się czoło najgorętszym znojem rościć i żadnej, choćby najcięższej i najskromniejszej, pracy się nie wstydić. Średniowieczna to zresztą rzecz, wstyd pracy uczciwej — średniowieczna rzecz, która już przepaść powinna.

Lecz nie każda kobieta dostatecznie rozumie jakim-to najlepszym, błogosławionym warsztatem pracy jest ten grunt stary, jeżeli się go dostatecznie wyzyskać umie. Mnóstwo kobiet ciśnie się do miast za zarobkiem w rzemiosłach, które go dawać nie mogą. Czas sam wykazuje przecież, jak się tu nieraz nierozważnie rzucano. Do szewstwa, na przykład, tak się rwano jeszcze niedawno, że kładziono w to niemal dumę emancypacyjną, iż kobieta szewcem być może. Obecnie przecież przedstawia się to rzemiosło na wystawie przez jedną parę bardzo skromnych pantofelków. Za to pończosznictwo maszynowe weszło w dział prac kobiety i wytworzyła się z tego bezspornie jej przyznana gałąź pracy. Podobnie pasmanteria. Fabryka tak wełnianej, jak jedwabnej pasmanterii p. Wandy Pomorskiej istniejąca przez lat siedm (od 1882 r.) dowodzi, że ta praca sił kobiecych nie przechodzi i nie stawia jej w kolidzji z niczem, co-by dla niej przykrem być mogło. Pasmanterya ze szpagatu p. Tekli Mańkowskiej ze wsi Borówka pokazuje przytem, że ten przemysł może być również pracą domową.

Najważniejszem przecież zadaniem społecznem kobiety, od wieków i bez spornie jej przyznawanem, jest wychowanie, więc też na wystawie kobiecej dział pedagogiczny (IV) jest najważniejszym i wymaga, aby oddzielnie rozpatrywany był i sądzonym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W WIEZACH.

PRZEZ

Anatola Krzyżanowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Zazdrość ludzka to mylne nieraz kryterium, — podjąłem łagodnie. — Powiedz mi lepiej, Stasiu, czy ty byłeś zadowolony z własnego dzieła, czy życie po myśli ci poszło?

Wyciągałem go na słowa, chcąc zajrzeć do głębi tej duszy, zranionej i chorej widocznie, chcąc dociec, jakie pobudki ku zbrodni go popchnęły. Goryczy nie zauważył tego nawet. Z łokciem o stół wspartym i czołem w dłoni ukrytym, z oczyma beznadziejnie w przestrzeń utkwionymi, nie był on w tej chwili wykwiutnym salonowcem, o śmia-

łem wejrzeniu i szyderczym uśmiechu, lecz człowiekiem zgębionym moralnie, czującym porażkę pierwszą w życiu potrzebę wyznania się z uczuć tłumionych.

— Czy byłem zadowolony z własnego dzieła? — powtórzył z namysłem. — Tak, masz rację, to było własne me dzieło, nikogo więc za nie winić nie mogę... Nie mam prawa wyrzucać nikomu, że przeceniłem siłę pieniędzy... Za jednym krokiem fałszywym poszedł drugi. Ożeniłem się, i to mnie zgubiło.

— Na złą trafiłaś kobietę?

— Nie, była piękną, zimną i zalotną, a przedewszystkiem posażną, — tem mniejsza. Patrząc na smutny stan finansowy ogółu, na upadające majątki i ruinę możnych niegdyś ludzi, postanowiłem ożenić się bogato. Zdawało mi się, iż w ten sposób spełnię tylko obowiązek względem kraju i przyszłych moich dzieci. Dzieci tych jednak odmówił mi Pan Bóg, a wzamian... dał wieniec.

Zerwał się, i odsunawszy bezwiednym ruchem wazę z kapuśniakiem, którego prosta woń, drażniła powonienie jego, do wykwiutnych potraw przywykłe, zaczął gorączkowymi krokami ciasną mierzyć izdebkę.

— Przeceniłem siłę pieniędzy, — powtórzył. — Szukałem posagu i znalazłem go. Nie sądzę, żem zwodził żonę, udając uczucie. Nie, to się z uczciwością mą nie zgadzało. Wiedziała, że jej nie kocham, a mszcząc się za to, rzuciła mi nazajutrz po ślubie w oczy wyznaniem, iż serce jej do innego należy. Czułem, że jest to przechwanka podrażnionej kobiety, a jednak przechwanka ta, połączona z mianem łowca na posagi, przepaść na zawsze wykopała między nami. Cios został tak celnie wymierzony, iż zranił mnie musiał. Odtąd zdawało mi się, że jej nienawidzę, a ja, nieszczęsny, kochałem ją coraz bardziej. Duma tylko nie pozwoliła mi wyznać tego. Nie chciałem się do własnej zalecać żony, nie chciałem być odepchniętym szyderczo przez kobietę, która, przysięgając mi wierność i miłość, chwaliła się równocześnie, iż kocha innego. — Chłód jej drażnił mnie, piękność do wściekłości doprowadzała niekiedy. Młodzi, bogaci, otoczeni zbytkiem, za który zaprzedałem się, zarówno, jak ona, wiedliśmy życie nędzarzy, życie w piekło zamieniające się codziennie. Czasami miałem ochotę upaść przed nią na kolana, ale była taka zimna, taka szydercza, iż nie wiedząc, czy ją więcej kocham, czy nienawidzę, uciekałem z domu czempredzej.

Opadł napowrót na stół, a czoło jego duże krople potu pokryły.

— Należało chłód ten przełamać, — zauważyłem.

— Przełamać dumę Izy? Ha ha, ha, — zaśmiał się gorzko, — jakże znać, żeś nie widział jej nigdy! Na to trzeba, aby mnie kochała, a ja dla tej kobiety nie byłem niczem, niczem nigdy. Jakby próbując cierpliwości mej, zaprosiła owego kuzyna, którego imieniem urała mi w dzień ślubu. Dowodziła, iż potrzebuje rozrywki i, prawda, smutno jej być musiało w tej lodowej atmosferze wygasłego naszego ogniska. Patrząc na stosunek ich serdeczny, braterski, czułem, iż w duszy mej wrzeć znów i kipieć zaczyna. Byłbym jednak zapanował nad burzą wewnętrzną, gdyby nie to nieszczęsne polowanie. Chłopiec ubogi, a tem samem zgoryczony nieco, zaczął rzucać sarkazmy na bogatych, którzy, od poważania u ludzi aż do żony, wszystko kupić potrafia. Krew mi zawrzała.

— Czy to przymówka do mnie? — zawołałem.

— Nie powiedziałem tego; chociaż, jeżeli się panu podoba stosować słowa me do siebie i Izabelli, przeszkodzić temu nie mogę, — odciął ironicznie.

— Jak śmiesz ubliżać jej w ten sposób? — wykrzyknąłem.

— Niestety, mam większe od innych prawo do podobnego twierdzenia: wszak gdyby nie pańskie krocie, moją byłaby dziś żoną.

Co się dalej działo, nie wiem. Za jednym gorącym wyrazem poszedł drugi, wreszcie strzał własnej dubeltówki oprzytomnił mnie dopiero. Karol leżał krwią zbroczony, a ja... ja byłem zbrodniarzem!

I głowa nieszczęsnego z głuchym jękiem na ręce opadła, z piersi straszne wyrwało się łkanie.

Na równi ze wszystkimi ludźmi porywczego usposobienia, po minięciu pierwszego uniesienia, po wybuchu gwałtownym, poddawał się reakcji i zdolny był płakać jak dziecko.

Patrzając na boleść jego głęboką, szczerą, uczulem się mimowoli wzruszonym. Jakżeż srogo okupił gonitwę za posągiem! Kobieta kochająca, zwalczająca miłością swą wady tej łatwo zapalnej natury, byłaby umiała blask czystego wydobyć z niej złota. Bogata dama zdołała tylko zbudzić w jego duszy demona dumy i zazdrości, potrafiła do zbrodni popchnąć go jedynie.

Podrażniony rozmyślnym prawdopodobnie sarkazmem, doprowadzony do wybuchu bezwiednej lecz strasznej zazdrości, wymierzył strzał w stanie nieprzytomnym i niepo czytelnym. Dla mnie jasne to było; czy jednak sąd zechce zapatrywać się z tego punktu na sprawę, która do tego stopnia już rozgorączkowała opinią publiczną? Gdy, chcąc użyć wszelkich sprężyn i wyczerpać wszystkie możliwe środki w celu złagodzenia wyroku, wspominałem, iż stosunek do żony usprawiedliwia go po części, a zeznania jej mogą wpłynąć w oczach sędziów na zmniejszenie winy, Gorycki na równe zerwał się nogi.

— Co, Iza przed sądem? Iza występująca jako żona oskarżonego, by wobec obcych i objętych roztrząsać nasze rany serdeczne! Nie, nie, to nad moje siły! Nie znasz mojej żony. Ona—taka dumna, nigdy podobnego nie przebaczyłaby mi upokorzenia. Och, wolę stokroć pójść w łody Syberyi, niż ujrzeć ją tam, niż znieść tę jeszcze męczarnię!

— Słuchaj, — wołał, łamiąc ręce boleśnie, — przyrzeknij, poprzysiąż, że mi oszczędzisz tej boleści, że nie skążesz mnie na taką katuszę. Wszystko, wszystko przedję ścierpię, chwile tę jednak obłędem, szaleństwem-bym przyplacił. Przyjacielu, przysięgnij, że Izy tam nie będzie, że uczu naszych nie rzucisz na pastwę gawiedzi. To ostatnia łaska, o jaką cię proszę.—Gorącym jego słowom trudno się było oprzeć; gdy jednak wzruszony napomknąłem, iż pozbawia mnie jedynego środka obrony, na którym opierałem nadzieję złagodzenia wyroku, Gorycki odparł ponuro:

— Zabiłem go; wiem o tem: powinienem więc karę ponieść.

Od myśli tej, z fatalistycznym wypowiedzianym poddaniem, trudno go było odwieść; zgnębiony też opuszczał już celę, gdy na progu wstrzymała go postać dziwna, przez stróża więziennego prowadzona tu z kolei.

Była to niska, przygarbiona staruszka, w grubej, kirem białych obszyć boleśnie rażącej, żałobie. Zpod czarnego kapelusza, na czoło poorane bruzdami, śnieżne wysuwały się kosmyki; policzki, żółte i zapadłe, piętnował wyraz kamiennej jakiejś rozpacz, podczas gdy zsunięte niżej ciemne okulary odsłaniały od łez zaczerwienione powieki i wypłakane snadź żrenice. Ręka jedna, wsparta o ramię dwunastoletniej może, ubogo odzianej dziewczynki, druga, w łaskę uzbrojona,—zdawały się wskazywać, iż mam z niewidomą do czynienia.

Ujrzawszy postać tę drobną, wynędzniałą, od której cmentarna jakaś wiała atmosfera, więzień wydał okrzyk bolesny i ruchem pełnym przerażenia w tył się cofnął.

Teraz stali naprzeciw siebie. On, całą siłą o mur wsparty i jak trup blady, z ręką przyciśniętą do czoła, zpod którego tylko oczy gorzały w orbitach; ona, z przygarbionej staruszki, zmieniona naraz w mściwą, straszną Eumenidę, której krwią zaszła, a wieczną nocą pokryte żrenice przeszywać zdawały się nieszczęśliwego.

Ten okrzyk, mieszczący w sobie cały świat bólu, przykuł mnie do progu. Niewidoma posłyszała go również.

— Ha, poznałeś mię, — zawołała z okrucieństwem—poznałeś! A jednak zmienić się musiałam. Przeraziłam cię mym widokiem; nie sądziłeś, by ofiara zbrodni twej tak wyglądała. Nikczemny, myślałeś, że zabijając jego, kończysz rachunek ze światem!

Spojrzałem na Goryckiego. Blady jak ściana, o którą wsparł głowę, drżał febrycznie na całym ciecie. Zjęty litością nad straszną jego męczarnię, wyciągnąłem błagalnie rękę do staruszki.

— Uspokój się pani, — prosiłem. Nie słyszała mnie nawet.

— Zapomniałeś, iż zbrodnia twa, wołająca o pomstę do nieba, nie jego zgubiła tylko. Spójrz — dodała, upuszczając z łoskotem łaskę na kamienną posadzkę i drobne, pomarszczone załamując dłonie, — spójrz na mnie — spójrz na ruinę, będącą twojem dziełem. Nikogo nie mam na świecie całym, nikogo! Za cóż wydarłeś mi to dziecko, jedyną w życiu osłodę, jedyną podpórę na starość? Za co osierociłeś nieszczęsną? Wszak miałeś wszystko, młodość, nadzieję, bogactwa; ja nie prócz syna mego! Oslepiłam, oczy z nieszczęściem wypłakałam, ale on mi był żrenicą i słońcem, on blaskiem i światem całym! Dnie i noce śleczalam, by go dobrze wychować, by powiedzieć ojcu jego na tamtym świecie: patrz co zrobiłam z naszego syna; patrz, jaką ci chlębę przynosi!

Zpod powiek jej, krwią nabrzmiałych, grube lzy pociekły.

— Ciotko — jęknął więzień, — ciotko, czyż sądzisz, że go zabiłem rozmyślnie?

— Przypomnisz mi może, — ciągnęła nieubłagana, — żeś nas wspomagał, że za twoje pieniądze wysłałam go na dokończenie studiów zagranicę?

Drgnąłem. Był to rys nowy, nieznany mi dotąd, a rzucający wybitne światło na szlachetny w gruncie charakter podsądnego. Kto wie zresztą — pomyślałem — może ułatwiając mu wyjazd, chciał usunąć z przed oczu żony domniemanego rywala...

— Ha, przekłete pieniądze, — mówiła tymczasem ociemniała, wstrząsana gniewem straszonym. — Przekłeta mamona! czemuż ją przyjmowałam? Pozbawiła mnie dziecka na lat parę, a gdy powrócił, usidliliście go znowu. Ta twoja nikczemna, zalotna syrena stanęła na jego drodze...

— Litości, ciotko, — błagał, — litości! Ani słowa przeciwko niej! Ona niewinna.

— Oczarowała go, chciała zgubić i zgubiła. Zamordowaliście mi dziecko, wydarli nadzieję, zabrali ostatnią iskrę życia. Podli!

Ręka jej naprzód wysunięta, trzęsła się cała, postać dygotała z rozrywającego piersi bólu.

— Pani—wtrąciłem,—nie złorzecz im. Wszak widzisz, iż nieszczęściem tem, są na równi dotknięci. Złamana ciemem strasznym, rzuć z chrześcijańską pokorą słowo przebaczenia.

— Nigdy! — wykrzyknęła zacięcie. — Nigdy! Przyszedł tu, by się nacieszył widokiem drugiej ofiary. Mordując jego, i mnie zabił. Ale to mniejsza: siebie przebaczyłabym, za śmierć dziecka przekleństwo mogę rzucić tylko. Niech lzy oslepłych mych oczu padną ci na duszę; niech wszystkie twe nadzieje, tak jak mego syna, zimna pochłonie mogiła!

Oblicze jej straszne zdawało się gromy ciskać na więźnia. Pochylony, z piersią podnoszącą się konwulsyjnie, Gorycki, ze wzruszającą pokorą, wyciągnął ku niej ramiona.

(Dokończenie nastąpi).

ALEXANDRA DES BLESCHAMPS.

(Dokończenie.)

Nożny swój wyjazd z Paryża, w wigilię wielkiego święta, opisuje Lucyana w *Pamiętnikach* smutno, posepnie. Rzucać Francją—to dla niego było już rzucać ojczyznę. O godzinie jedenastej powozy zajęchały na dziedzińcu; matka przybyła żegnać syna, który w tej chwili odrywał się od rodziny; był i brat młodszy, Józef. Miano nadzieję, że Napoleon, który wiedział o wszystkim, zmieni i zmieni postanowienie, w którym warunkiem pogodzenia się braci było zawsze opuszcze-

nie kobiety kochanej i ufającej, kobiety, co miała wkrótce zostać matką. I Lucyana w głębi serca może się spodziewał czegoś; milczał, ale czekał zapewne, bo gdy uderzyła godzina jedenasta, podniósł się i rzekł: — Jedźmy, już czas... Józef błagał o chwilę jeszcze—o godzinę, która przecież nic nie przyniosła. Despota w Tuilleryach przechodził też pewno udręczenia, które zadawała mu natura ludzka; pewno też czekał aktu upokorzenia się brata przed nim, — czekał nadaremnie. Za uderzeniem godziny dwunastej, Lucyana przyprowadził żonę do kolan matki — klęknął z nią razem i poprosił o błogosławieństwo. Letycya dawała je, płacząc gorzko, a biedna kobieta, która stała się mimowolną przyczyną tego rozdziału rodziny, była blada jak śmierć. Sprowadzał ją ze schodów Józef, Bernadotte, który też tu był i siedł w tyle z Lucyaniem, patrząc na nią, rzekł, aby pokryć żal żartobliwością: — „Można powiedzieć przynajmniej, że pierwszy konsul miał piękny powód do swego gniewu.“

Osiadłono się w Rzymie, a w niedługi czas potem Napoleon zażądał od Francji purpury imperatora, co gdy się stało, Lucyana przez *senatus consultum* został wykluczonym z rodziny cesarskiej. Matkę i siostrę, Paulinę, księżniczkę Borghese, przysłał uprzednio do Rzymu z misją nakłonienia papieża, Piusa VII, aby przybył do Paryża i dopełnił osobiście koronacji nowego Cezara. Pod wpływem widoku matki i siostry uczucie rodzinne wzruszyło się w piersi Lucyana, zwrócił się do Taylleranda o pośrednictwo, ale usłyszał odpowiedź, że cesarz nie zmienia zdania. Rozdział z Joubertem, —bo tak Napoleon nazywał zawsze żonę Lucyana—to niewzruszony niczem warunek pogodzenia się braci. Były przytem wstrętnie nędzne warunki co do odebrania nazwiska dzieciom, których było już dwoje, do okrycia hańbą kochającej małżonki. Lucyana był tak oburzony, gdy Talleyrand mu to powiedział, że wyrwał mu się z piersi dumny krzyk gniewu: — „Szanuję w was pełnomocnika cesarskiego, ale dusze nasze nie rozumieją się! — zawołał i skłoniwszy się, zostawił Talleyranda samego.“

Jeszcze nasyłano na niego innych kusicieli. Wuj, kardynał Fesch, przybył szturmować raz i drugi. Trzeba było dziedzica dla cesarskiego tronu, ale Lucyana już tylko wzgardą odpychał te nalegania i zawołał raz: — „Oszczędź mi, wuju, bezowocnego wstydu rad swoich. Ukryj nędzę uczu pod purpurą i noś spokojnie wielką hańbę swojej ambicji.“

Wśród tego wszystkiego kobieta nie była już milczącym, łzami zalany świadkiem oblegania duszy męża. Nie... teraz śmiało i jawnie przyznawała już, że stała tu na straży, nietylko praw własnych i praw dzieci swoich, ale „jako pomocnica męża wśród walki toczzonej z jego honorem i uczciwością.“ W sprawie tej chodziło o godność lub hańbę człowieka, któremu przysięgała wierność z warunkiem nieopuszczenia go aż do śmierci. Otóż woła teraz, że niech kto chce widzi w niej przeszkodę do wyniesienia Lucyana; niech kto chce widzi w niej samolubnie stawiającą się na drodze jego życia zapórę do szczęścia — ona to pojmuje inaczej i dla tego-to „pojmowania inaczej“ życia i jego obowiązków historyk jej nazywa ją: „tą, która umiała uszlachetnić i oczyścić życie Lucyana Bonapartego.“

Taka kobieta mogła też być, a nawet musiała być, niezmiennie kochaną przez równie szlachetnego mężczyznę i gdy Napoleon, który nie miał serca, wyobraził sobie, że cztery lata małżeństwa musiały osłabić miłość, —a przez miłość rozumiał miętność,—zażądał od Lucyana prywatnego widzenia się w Mantui, (1807 r.), aby osobiście już kusić brata — nie zdołał wymóżyć na nim nie. Przecież teraz uznawał już małżeństwo i tylko chciał rozwodu, ofiarując w takim razie tej, którą uznawał za bratową, Księstwo Parmy. Lucyana, naturalnie, odmówił, a jako dokument godności i podniosłości ducha kobiety, tak wiernie kochanej, pozostał list, pisany wtedy przez nią do Napoleona, w którym dziękuje mu za łaskawą chęć uczynienia jej panującą. On jej pisał, że cnoty prywatne nawet w sercu kobiety powinny ustąpić przed cnotami publicznymi, które są miłością kraju i poświęceniem wszystkiego dla inte-

ressów jego wielkości. Ona odpisuje na to, że gdyby jej wyrzeczenie się Lucyana było rzeczywiście związane z dobrem Francji, ona w takim razie ustępując, nie-by nie żądała wzamian: nie przyjęłaby wziętku żadnego: „Je ne voudrais pas me laisser payer la pratique de tels dévoirs et de telles vertus“ — pisze dumnie.

List kończy się tem, że „Bóg tylko mógłby wynagrodzić jej w niebie“ — zrzeczenie się tak kochanego, jak Lucyana, człowieka i dodaje też: „Un tel dédommagement n'est pas même au pouvoir du puissant empereur, auquel j'ai l'honneur de m'adresser en ce moment.“

W tej walce o godność i sumienie zwyciężyła kobieta: miłości i obowiązku nie poświęciła dla ambicji — nie oddała tego za koronę, czyli okazała się wyższą, mocniejszą niżeli był on, bohater, wojownik!

Czy smutną igraszką losu, czy wyrokiem jego karzącym, to Księstwo Parmy, które odrzucała dostojnie małżonka Lucyana, przyjęła potem żona jego — Napoleona, inaczej przecież mu wierna! A targował on duszę brata na okup za swoje, bo gdyby Lucyana był mu dał do adoptowania następcę, urodzonego z Królowej Etrurji, on nie byłby nędznie opuścił Józefiny, nie byłby wziął Maryi Ludwiki i nie przyjął wraz z nią wpływów polityki austriackiej, która zawiodła orła do tej okrutnej klatki na skale, zowiącej się wyspą S-téj Heleny.

— Europa za małą jest dla nas dwóch... Jesteś od tej chwili wrogiem moim, mam więc prawo prześladować cię... — wykrzyknął też w Mantui autokrata namiętny i nie zlagodniał już nigdy dla brata, jakkolwiek Letycya błagała go o to gorącemi łzami. Lucyana, który go znał, nie liczył już na pojednanie i powiedział sobie, jak poprzednio, że mogą nie spotykać się ze sobą. Zaraz po przybyciu do Rzymu nabył w pobliżu Frascati i Tivoli przepiękną willę Ruffinella, stare Tusculum Cicerona i powiedział żonie, kochanej niezmiennie, że tu już ulokują na stałe Lary swoje i Penaty. Zabrał się też pracować do uporządkowania nowej posiadłości i, wyrażając się stylem epoki, „obcował z Muzami“ — którym wznosił też miniaturowy Parnas, oddając na to najwyższe wzgórze swego obszernego parku. Po prawicy marmurowego Apollina z dziewięciu boskimi dziewczynkami, stał Homer, Tasso, Kamoens.

Tu przyjmowano najwytworniejsze towarzystwo Rzymu. Obok tego Lucyana gospodarował: zakładał winnice, sadził gaje oliwne, a ciesząc się w Wiecznym Mieście sławą wielkiego poety, czytywał Piusowi VII ustępy z poematu, który pisał wtedy: „Charlemagne ou l'Eglise delivrée“ i porównywał się w duszy do Wergiliusza, czytającego Eneidę Augustowi. Były to niewinne złudzenia — było to szczęście, możliwie urozmaicane, bo i tu został wzniesiony teatr, na którym rolę bohaterów grywała zawsze jeszcze piękna kasztelanka tych miejsc, choć teraz już matka siedmiorga dzieci. Lucyana korrespondował prztem z Herschlem i zbudował obserwatorium astronomiczne, kupił nakoniec Księstwo Canino i otrzymał od papieża inwestyturę z tytułem księcia; lecz nadszedł burza, której grom zburzył to wszystko.

Napoleon w ciągu swego zdobywczego pochodu wziął Rzym, a skoro tylko zajęły go władze francuskie, kazano Lucyanowi wyjechać; przysłano mu z policyi paszport, oddzielnie zaś dla tej, która nie chciała zostać księżną Parmy, jako dla „wdowy Jouberton.“ Teraz nie było już prawie gdzie jechać, bo władza Napoleona sięgała niemal na całą Europę: Lucyana postanowił też pójść do Ameryki. Cała rodzina, służba, dawni domownicy, wszystko to wsiadło na okręt w Civita Vecchia; zabierano też zbiory, bibliotekę, dzieła sztuki, lecz zaraz wkrótce, na wodach Cagliari, wojenny statek angielski zastąpił podróżnym drogę i uczynił ich jeńcami. Zatrzymanym czas jakiś na Malecie kazano wylądować w Anglii i tu musieli małżonkowie osiedlić się w hrabstwie Worcester, gdzie nabyli, czy najeli, starożytny zamek Thorngrove.

Było to w 1810 r., i teraz to dopiero zaczynało się dla tułaczy prawdziwe wygnanie. Po błękitach włoskiego nieba, po klasycznej ziemi sztuki,

przyszedł chłodny, wilgotny klimat, wieczne mgły i świat najzupełniej inny: purytański-surowy, oschły w formach swoich, nienawidzący wszystkiego, co wygnańcom było drogiem. Na szczęście, zabrano tu ze sobą to, co darzy wiekuiście światłem i ciepłem: miłość wzajemną; ale niemniej wygnańcy, a szczególnie ojciec tej rodziny, wykołejonej z naturalnych warunków życia, odczuwał gorzko położenie okrutne. Zwrócono się po ratunek do wielkiej pocieszycielki Ludzkości: chciano i tu przywołać muzę poezji, a choć ta jedynie wybrańcom swoim podaje czarę prawdziwego nektaru, zajmowano sobie czas, jak zdołano, wyciągając ku niej ręce. Za przykładem męża, a przypuścić można, że dla jego pociechy i uciechy, i żona wzięła się do pióra, wierszowali zatem wszyscy. Biedna kobieta napisała poemat o dziecięciu pieśniach: „Batilde, reine des Francs“ z przedmową, w której tkliwe, szlachetne uczucia, „cała dobra dusza kobiety“, jak pisze jej historyk „ujawniła się z idealnością swoją, z naiwnym jej optymizmem i humanitarnymi dążnościami.“ Bohaterką jest piękna, cnotliwa niewolnica, która zostaje królową; żli są tam czarni jak Murzyni, dobrzy promienieją anielsko. Jest tam i westchnienie za utraconą może na zawsze ziemią oczyszczoną i chłopką galijka, przemieniona w królową, a wołająca:

O Gaule! ô ma patrie!
L'ombre du trépas en vain plane sur moi,
Je suis contente... Ma paupière affaiblie
Voit l'ange, qui veille sur toi...

Aż nadszedł ciężki rok przewrotów: rok 1814. Napoleon nie rozciągał już władzy swojej nad Rzymem i wygnańcy wrócili tam — do wszystkich oddanych im majątków i tytułów. Lucyana był znowu księciem Canino, był znowu, panem na włości Nemori i małżonkę jego, w sukni z drogich brokatów, sadzano obok panujących księżnych po prawicy, gdy nagle wstrząsnęła Europą wieść niespodziewana, że Napoleon rzucił Elbę i wylądował we Francji, która wita go z zapalem radosnego uniesienia. Ale drugostronnie Józef donosił, że pomimo to położenie jest w wysokim stopniu niebezpieczne, że Napoleon może nagle znaleźć się na Skale Tarpejskiej, i serce brata uderzyło. Lucyana zapomniała przeszłości: samowoli, ucisku, śpieszy do Paryża, a Napoleon wzruszony ścisną mu rękę i kładzie na szyję wielką wstęgę Legii Honorowej, tę, którą miał na sobie w czasie podróży z Elby do Paryża.

Ale natura to była podejrzliwa. Dawna nieufność do Lucyana odzywa się; nie dowierza jego radom, usiłuje usuwać go na bok, aby cień od tej szlachetnej postaci nie padł na jego osobę, aż piorun losu, uderzający pod Waterloo, zgruchotał olbrzyma. Gdyby Napoleon był dał unieść się odważnym radom Lucyana, byłby może przeszedł zwyciężko po trupach nieprzyjaciół i stanął jak zwycięzca przed skoalizowaną Europą. Ale i człowiek i wojownik był już zmęczony, losy jego spełniły się, a Lucyana, niemający już co robić we Francji, która przyjęła Burbonów, wraca do Włoch, odprowadzany do granicy przez austriackiego oficera.

Zatrzymany czas jakiś w Turynie, dobił się nakoniec do cichego swego Tusculum i tam już, pod łagodnym niebem Włoch, dożył swego czasu przy szczęśliwym ognisku domowym, obok ukochanej kobiety i dzieci, których było ośmioro. Umarł w Viterbo, 1840 r. Ta, o której mówili niegdyś ludzie (konsul Lebrun) że „ma duszę tak piękną, jak lica“ była mu do końca życia tego skarbem najdroższym i gdy Napoleon dogorywał samotny, jak Prometeusz na skale, on, smutny, patrząc na nią z wdzięcznością, mówił: — „Gdybym to ja tam był, ty byłabyś przy mnie“...

Przeżyła go o lat piętnaście i teraz uczyniła to sobie zadaniem życia, aby stać na straży jego pamięci. Wydała jego korespondencję i czytywała wszystko, co pisano i drukowano o nim. Gdzie była omyłka, prostowała ją na podstawie posiadanych dokumentów; gdzie był zarzut niesprawiedliwie stronnicy, odpierała go — protestowała przed historją. I była to małżonka wierna, nie tylko wedle obowiązku przysięgi aż do śmierci,

ale wierna jeszcze mogile, odpowiadająca całkowicie poetycznemu orzeczeniu Michelet'a „La veuve est l'âme attardée du mari.“ Moc tkliwe-go, słodkiego uczucia, działającego w zakresie czysto-kobiecych obowiązków, sprawiła przecież, że weszła do historii, jako siła działająca, choć pośrednia — siła dodatnia.

„Utrzymała się z racją swoją w obec Napoleona i utrzyma się z nią wobec potomności!“ — zakończy Laujol, a racya to jest, że kobieta działająca na serca, na uczucie męskie, działa przez to w społeczeństwie, w narodzie i jest tu czynnikiem, którego lekceważyć nie można. Szlachetna — uszlachetnia, małoduszna — poniża, i dla tego ta, która przez bramę moralnej historii obyczajów wkracza w sferę dziejową, żyje tam, jako „Ceres dobroczynna, piękna i spokojna.“

Marya Imicka.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 1 Czerwca 1889 r.

Wystawa. — Paktoł gazeciarski. — Zaparcie się rzeczywistej genezy. — Otwarcie. — Obchód w Wersalu. — Obchód na Marsowym Polu. — Fizyognomia samego Paryża. — Jak wygląda dziś jeszcze wystawa. — Dodatki do niej — Cody Buffalo-Bill. — Walka byków. — Exotyczne okazy ludzi i rzeczy. — Święto, czy bitwa kwiatów. — Kwestya wydatków i kwestya zabawy. — Jaśniejące fontanny. — Cygańskie muzyki. — Karłowate ogrody japońskie. — Bajeczne ceny kwiatów rzadkich — Wystawa doroczna Sztuk Pięknych na Polach Elizejskich. — Polscy artyści. — Panna Bilińska i inni. — P. Jasiński, rytnik. — Artyści francuscy tej wystawy. — Jubileusz „Journal des débats“. — Obraz p. Bérauda i księga jubileuszowa. — Śmierć hr. Alfreda Potockiego, i nabożeństwo za duszę zmarłego.

(Dokończenie).

W pałacu Sztuk Pięknych na Marsowym Polu, oprócz Wystawy powszechnej międzynarodowej — urządzono wystawy francuskie: dziesięć o studlęcia malarstwa i rzeźby — wstecz idącą wystawę sztuki, i nakoniec wystawę pastelistów i akwarelistów, również sięgającą w przeszłość. Są tam rzeczy warte widzenia, są o których należy mówić; ale w tej chwili czeka mnie jeszcze rzecz bardziej nagląca, bo rzecz bieżącej chwili: wystawa doroczna Sztuk Pięknych na Polach Elizejskich.

Chociaż na tej wystawie mało jest bardzo naszych artystów, mniej, niż lat innych; chociaż nie jaśniejemy wcale większą artystycznością dzieł, któreśmy na tę wystawę przysłali: — należy się jej przecież słowo wspomnienia, choćby dlatego, żeśmy tu na obczyźnie, że stajemy śmiało obok ludzi hardych bogactwem i wiedzą, że artyści nasi kazły cał miejsca otrzymanego na tej wystawie musieli okupić, jeżeli nie talentem rzeczywistej, niezaprzeczanej wartości, to przynajmniej ogromnym wysiłkiem pracy — co jest już wielką i poważną zasługą i prawem do tego, aby swoi pamiętali o nich.

Ale, niestety, mała jest liczba tych naszych, a i w tej liczbie nawet, mało, bardzo mało wybranych. Jeśli wymienimy zawsze do współzawodnictwa stającą pannę Bilińską — o reszcie możnaby zamilczeć, kiedy się ma szukać miary porównania z tem, co przedstawia w swej imponującej całości wystawa artystów francuskich. A jeśli tym ostatnim musimy zrobić wyrzut, że z każdym rokiem, jakby z namysłu, zniżają miarę prawdziwego stanowiska, jakie zajmowali dotąd w powszechnym rozwoju sztuki... to cóż będziemy musieli powiedzieć o naszych?

Panna Bilińska celuje dziś jeszcze wśród swych kolegów malarzy. Jej „Portret pani W.“ — naturalnej wielkości, do kolan — jest to dzieło artysty, który już opanował swą sztukę i wszystkie jej tajemnice, zasoby zbadał i poznał do dna. Nie można tego powiedzieć o portrecie pana A. B. (powiada katalog): maleńkich, jak dłoń rozmiarów, przedstawia on młodzieńca w całej postaci, trzy-

mającego w rękę spuszczone ku ziemi pistolet; obok stół i na nim rozrzucone kartony na strzelanie do celu; miniaturowy ten portret z układu i rysów twarzy przypomina arcyksięcia Rudolfa. Czy to podobieństwo jest wypadkowe; czy była w tem rzeczywiście intencja artystki?—mniej o to. Portrecik ten mógłby znaleźć uznanie, gdyby był dziełem poczynającego artysty, ale od panny Bilińskiej mamy prawo wymagać czegoś większego i lepszego. Francuzka też krytyka obeszła się z tym portretem dość ostro—i miała rację. Portret w takich rozmiarach okupuje całą swą wartość niezmierną delikatnością pędzla i blaskiem kolorytu—na czem tu zbywa zupełnie. A że pomiędzy pastelami na wystawie kobiecej panna Bilińska miała tak słizną gałązkę bzu, to daje wszelkie prawo powiedzieć jej z uszanowaniem—złotą prawdę, że nie wolno jej drzeć ani na chwilę!

Pan Horovitz — wiem, że jest to nasz artysta i bez żadnej wątpliwości najpierwszy dziś spośród naszych portrecistów,—ale katalog powiada tylko o nim, że się rozdził na Węgrzech, że jest uczniem Akademii Wiedeńskiej i że mieszka w Warszawie. Jest tu jego piękny portret do kolar, księżny S. Ręce są tak wykończone i umiejętnie malowane, że one to głównie zjednały mu *mention honorable* którą mu przyznała *jury*. Potwierdzamy ją z prawdziwą przyjemnością.

Jeśli tu dodam wzmiankę o pięknym, ale coraz częściej powtarzającym się, niestety, pejzażu p. Gąsowskiego: wybrzeża z okolic ujścia Garonny, będzie to zupełna wiązanka, poświęcona polskim artystom na tegorocznej wystawie. Jest więcej jeszcze imion. są obrazy i obrazki, są okazy rzeźbiarstwa; ale nie mam, doprawdy, ani dość miejsca ani czasu, by się zaprzątać dobrami, zacnem i intencjami—wszakże intencjami tylko. Przyjęto ich, i to już wiele znaczy: niech więc zadawalniają się tą względnością. Ja przejdę dalej, gdzie mi nawołuje ścisły obowiązek kronikarza.

Słowo, przecież na *valette* o panu Felixie Jasińskim, który z taką dystynkcją zajął opróżnione miejsce w rytownictwie polskim po ś. p. Redlichu. Ten jest zawsze w postępie. Roku zeszłego mówiłem o jego sztychu holbeinowskiego portretu. Dziś też same, a nawet większe, pochwały należą mu się za jego sztychy, podług Quintin'a Metsys'a i Meissonier'a. Szczęśliwi malarze, którym dano było spotkać takich tłómaczy ryła, jakim jest nasz znakomity rodak. Czas już, aby go lepiej i bliżej poznano u nas; talent i tu już nawet zapewnił mu i miejsce do pracy i los odpowiednio pomyślny.

Niemale to i niełatwe zadanie dla kronikarza polskiego zdawać sprawę z wystawy Sztuk Pięknych w Paryżu. Sam ogrom dzieł może najsmielszego przerazić. Cóż dopiero mówić o tem, jak mało miejsca dozwolono mi zająć w tej korespondencji na ten przedmiot, jak sądzić o tem, wobec tej drogi, na którą tu dziś sprowadziły sztukę nowe dążności, nowa szkoła i moda, co tu z taką łatwością obejmuje wszechwładne berło panowania? Gdybyśmy my, Polacy, dziesiątą, setną część nawet posiadali takich artystów, jakich posiada dziś Francja... z jakąż chlubą, z jaką dumą moglibyśmy spoglądać na świat! Tak — ale my jesteśmy ubodzy i biedni—a więc nam wolno jest pożądać pewnych rzeczy, bez pretensyi do jakiegoś mecesownych patrzącego z góry.

Co innego dzieje się z Francją. Sztuka we wszystkich gałęziach swoich uprawiana tu jest od kilku wieków; w przeszłości wystąpili tu już pierwszorzędni nawet artyści. Są tu tradycje, ciągle, nieprzerwane; są wielkie przykłady, a zatem i ciężkie obowiązki: dlatego wolno jest domagać się od nich i wymagać wiele, więcej nawet niżli od kogobądź, ze względu na wielkie uzdolnienie narodowe.

Otóż, jak mówiłem zawsze, tak dzisiaj powtarzam: poziom się zniża coraz bardziej — sztuka upada powoli; przychodzi ta chwila, kiedy się człowiek pyta: czy nie stanie się tutaj tożsamo, co się stało z malarstwem w Hollandyi? Po dwóch stuleciach wspólnego rozkwitu, po dziełach pierwszorzędnej doskonałości i blasku—przychodzi wiek ośmnasty i w drugiej jego połowie ruch ten zatrzymuje się nagle, ustaje prawie—miejsce

zapału zajmuje zastój i obojętność — sztuka umiera.

Na tegorocznej wystawie w Paryżu (na Polach Elizejskich) przeszło dwa tysiące artystów do popisu stanęło. Występują tak znane imiona, jak: Bonnat, Bouguereau, Bréton, Cabanel, Carolus Duran, Chaplin, Gérôme, Henner, Laurens, Jan Paweł, Van Beers.—Wymieniam tu tylko najświetniejsze gwiazdy tej plejady artystów. Żaden przecież obraz, żadne dzieło, niezatrzymuje, nie przykuwa widza, który znużony powszednością, komunalem, z wysileniem dobiega do końca i bez żalu, niepowrotnie opuszcza wystawę, gdzie nie nie zaspokoilo jego oczekiwań.

Nie sądzcie, aby to było wypadkiem zgryźliwego mojego usposobienia, albo jakiegoś z góry poziętego a nieprzychylnego mniemania; nie—to co wam powiadam, jest to, niestety, oddźwięk powszechnego głosu tych wszystkich, którzy bezstronnie, bez uprzedzenia, bez szowinizmu patrzą wokoło siebie.

Sąd *jury*—własny sąd, namiętnie miłujący własne swe gniazdo—nie mógł w żaden sposób przyznać nagrody pierwszego medalu. To najlepiej tłómaczy i mnie i tych, których zdanie podziela. Rząd zakupił i przylepił swą kartkę na obrazach Jana Pawła Laurensa: („Ludzie Świętego officyum”—i Chapelina („Portret Miss W.”) Bardzo dobrze: jest to zachęta. Obrazy warte zapłaty; ale to nie zmienia wielkiego stanowiska sztuki, która w swej czystej, wysokiej sferze nie znajduje usprawiedliwienia w postępie i nawołuje do śpiesznej, koniecznej zmiany, ostrzegając, że przepaść już niedaleko.

A więc — konkluduję: niema tu nic, coby nas zatrzymać dłużej mogło. Ogólnikiem zamykam mój nawias i przechodzę do dziennego porządku rzeczy. Spotkamy się zresztą jeszcze z tym przedmiotem na dziesięcio-i stoletniej wystawie Sztuk Pięknych na Polu Marsowem. Ale jest na tej wystawie elizejskiej obraz ciekawy bardzo, nie jako arcydzieło sztuki—nie, ale jako pamiątkowa karta ze współczesnej historii literatury dziennikarskiej. Na tym obrazie w małych rozmiarach, jak Francuzi technicznie nazywają: *tableau de chevet*, malarz, p. Béraud zebrał wszystkich dzisiejszych współpracowników dziennika „Journal des Débats”, którego właśnie redakcja obchodzi stoletni jubileusz.

Jest tam trzydzieści dziewięć postaci pochwyconych z natury, dostatecznie podobnych i dosyć zręcznie ugrupowanych na płótnie, a raczej na drzewie, w redakcyjnym salonie dziennika.

Te trzydzieści dziewięć postaci, schwyconych w ich właściwym sposobie przejawiania się naważnie, przedstawiają nam całą redakcją dzisiejszą „Debatów”, zaczawszy od redaktorów politycznych aż do prostego reportera rozmaitości. Widać tam znakomitych już lub gotujących się do sławy takich pisarzy, jak pp. Juliusz Simon, Ernest Renan, Weiss, de Vogüé, John Lemoine, Taine, Dietz, Bardou, Bourget, Reyer, Leon Say, Francis Charnes, Jules Lemaitre, Leon Renault, Houssaye i t. d. Tak więc ten obraz jest to prawie jedna karta z historii francuskiej, żywcem wydarta.

Malarz skorzystał szczęśliwie ze sposobności. Obraz jest tym ciekawszy, iż przypada w chwili jubileuszowej dziennika. Trzeba i tu dodać, że rzadki tu jest ptaszek, dziennik, o tak poważnym wieku trwałości. „J. des débats” jest wraz z „Monitorem powszechnym” i „Gazetą Francuską”, jedynym dziennikiem, który może się pochlubić stuletnią rocznicą.

Pierwszy numer „Debatów” ukazał się na świat 30 Sierpnia 1789 r. Redakcja więc, uprzedzając stoletni termin o kilka miesięcy, wydała właśnie w tej chwili książkę jubileuszową pod tytułem: „Le Livre du Centenaire”. Jest to jedno z najpiękniejszych dzieł, jako ozdobne wydanie i jako treść; wielki tom, zawierający blisko 700 stronnic in 4-o, jest dziś już jedną z ciekawych objawów bibliografii. Nigdy nie spotkałimy jeszcze tyle sławnych podpisów, ile ich jest w tej książce. Zdobi ją przytem dziesięć wspaniałych *photogravures*, i pięć tablic *aqua forte*, wreszcie i liczne podobizny, ciekawych dokumentów, odbitych sposobem

heliotypowym. Jest to prawdziwie arcydzieło sztuki typograficznej nowoczesnej.

Widać, że autorowie tej książki jubileuszowej nie mieli żadnej pretensyi do napisania zupełnej historii „Debatów”: pragnęli jedynie dać ogólny zarys wielkich wypadków z życia tego dziennika—przypomnieć publiczności postacie tych, którzy się przyczynili do jego rozwoju i postępu na raz obranej drodze i pokazać zmiany, jakim on uległ w ciągu stu lat ostatnich.

Nim się rozstanę z tą zajmującą książką jubileuszową, pozwólcie, że wyjmę z niej następujące szczegóły:

Na 700 znanych współpracowników „Debatów”, 132, albo mniej, niż część piąta, byli albo są członkami Akademii Francuskiej lub innych towarzystw uczonych. Można ich rozdzielić następnie:	
Należało do Akademii Francuskiej	48
Akademii nauk moralnych i politycznych	26
Inscriptions et Belles lettres	25
Nauk	9
Sztuk Pięknych	9
Medycyny	10
Korrespondentów Instytutu było	6

Razem . . . 132

Kiedy się ma tego rodzaju legitymacyjne papiery, wolno się nimi pochlubić. Czytelnik ciekawy i *benevolens* z przyjemnością powie: „Dobrze jest o prawdziwej zasłudze wspomnieć.”

Dnia 21 Maja o godz. 11 w kościele S-go Augustyna, odbyła się żałobna uroczystość za duszę ś. p. hr. Alfreda Potockiego. Zmarły d. 18 Maja, liczył lat 67. Oddawna cierpiał na wadę sercową, a ta w ostatnich dniach po przybyciu do Paryża rozwinęła się tak gwałtownie, iż wszelki ratunek był już daremny. W otoczeniu całej swej rodziny, opatrzony ostatnimi Sakramentami, chory zgasł, zachowując całą przytomność umysłu aż do ostatniej chwili.

Zwłoki po nabożeństwie złożono tymczasowo w podziemiach kościoła S-go Augustyna, z kądem mają być zabrane do kraju dla pochowania ich w grobach rodzinnych w Łańcucie. 1)

Obchód pogrzebowy w kościele S-go Augustyna odbył się w asystencji rodziny, przyjaciół Polaków i mnóstwa osób z „wyższego świata” paryskiego. Jest to wielka strata dla Galicji i kraju. Przymioty serca i charakteru, któremi się odznaczał zmarły, nie przędą dadzą się zapomnieć w kraju, gdzie tak wybitne miejsce zajmował hr. Alfred Potocki.

Pokój jego duszy.

7

Kronika działalności kobiecej.

— W warszawskich szkołach i szkołkach publicznych uczyto się w ubiegłym roku szkolnym 8.041 dziewcząt.

— Kobiet, pracujących igłą jest w Warszawie 13.715. Z tych na dział strojnictwa przypada 5.215, a to: właścielek magazynów i pracowni strojów jest 299, pracownice 2.803, uczennice 2.113. Szwaczek bielizny jest 5.000: właścielek szwalni 1.026, pracownice 1.750, uczennice 2.224. W warsztatach kapeluszniczych, szewskich, krawieckich, pracuje w specjalnych gałęziach obszywaczek i krawcowych 3.500.

— Przyszłość dziewcząt sierot, zostających pod opieką *Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności* obchodził d. 1-go Czerwca pięćdziesięciolecie swego istnienia. Dobroczytny ten zakład wznieiony został w r. 1820 i pomieszczono go w głównym gmachu Towarzystwa na Krakowskim Przedmieściu; gdy z czasem liczba wychowanc wzro-

1) Pogrzeb w Łańcucie z wielką wspaniałością, wobec prezesa ministrów Taaffego, wysłanego przez samego cesarza Franciszka Józefa, odbył się w d. 5 Czerwca r. b. (Przyp. Red.)

śla, urządzono w 1864 r. filią przytułku przy ulicy Czerniakowskiej, przeniesioną w roku ubiegłym do obszernego, wygodnego pomieszczenia przy zbiegu ulic Hożej i Leopoldyny. W obu tych przytułkach: głównym i dodatkowym, wychowuje się 106 dziewcząt, których utrzymanie kosztuje 8,300 rs., co wypada rocznie na jedną 80 rs., dziennie 22 kop.

Obok wychowania moralnego w zasadach religijnych, dziewczęta uczą się ręcznych robót kobiecych i gospodarstwa domowego. Naukę kroju pobierają w zakładzie p. Gałęckiej i p. Głodzińskiego; prania i prasowania w zakładzie p. Rajkowskiej, gotowania uczą się praktycznie w kuchniach *Towarzystwa* pod kierunkiem p. Pauliny Szumlańskiej. Lekarzem przytułków jest dr. Lubelski. W ciągu pięćdziesięcioletniego istnienia zakładu wychowało się w nim 570 dziewcząt i, jak podaje sprawozdanie *Towarzystwa*, niemal wszystkie dobrze i uczciwie pokierowały się w życiu, a wiele z nich nie zerwało stosunków z Zakładem. Związane uczuciem wdzięczności z pożytecznie dobroczynną instytucją, odwiedzają ją, co świadczy, że kierunek Zakładu jest dobry, że stosunek jego do wychowanek jest ogrzany tem uczuciem ciepłem, przy którym tylko istota dziecka dobrze i szczerliwie rozwijać się może.

Stosownie do 272 artykułu ustawy *Towarzystwa* wychowanki, obok szycia bielizny i innych robót ręcznych, podejmowanych na potrzeby instytucji, mogą przyjmować roboty od osób prywatnych, zgłaszających się o to do zakładu. Uzbierany tym sposobem fundusz, używanym zostaje na oporządzenie wychodzących do służby. Obecnie fundusz ten, wynoszący 1,000 rs., złożony jest w kasie *Towarzystwa* w papierach procentowych. Oprócz tego wychowanki zakładu posiadają w książeczkach oszczędności osobistego funduszu rs. 849. Na akcie uroczystym było przytomnych 80 dziewcząt; wygląd ich był czerstwy. Popisywały się, obok wystawionych okazów swej pracy, śpiewem, i deklamacją.

— Szwalnia dziewcząt *Towarzystwa* Dobroczynności jeszcze w bieżącym roku zostanie przeniesioną z gmachu dominikańskiego do własnego dwupiętrowego domu, świeżo na ten cel wzniesionego przy ulicy Starej. Jest on tak urządzone, że pomieścić może sześćset ubogich szwaczek. Fronton zdobi posąg Matki Bożkiej.

— Szkoła fotografii dla kobiet ma się wkrótce otworzyć w Warszawie, założona przez p. Nowaczyńską, prowadzącą dotychczas zakład fotografii, który sprzedaje dla zajęcia się szkołą.

— Na egzaminie odbytem w d. 31 Maja w Warszawie w szkole felczerów cywilnych, otrzymała patenta felczerkie: Zyrycka Agrypina, Paczyńska Marya, Kohen Anna.

— Róża Bonheur za ostatni swój obraz otrzymała blisko 60.000 fr. Obecnie ma ona ona lat 67; maluje mniej, niż dawniej, ale malując nie tak pośpiesznie, wykończy doskonałej. Zawsze przecież uczucie artystyczne, wysoko w niej rozwinięte, nie dopuszczało tworzenia lekceważącego sztuki. Nie wypuszczała nigdy między ludzi dzieł chybionych — dzieł, z których nie była zadowolona.

— Francuzka wielka pani, księżna d'Uzès, jest niepospolitą rzeźbiarką, gorąco rozmiłowaną w swojej sztuce. W paryżkim „Musée patriotique de Jeanne d'Arc“, otwartym niedawno, bo w połowie Maja, znajduje się jej dzieło niepospolicie piękne: posąg Dziewicy wielkości naturalnej, w chwili, gdy po koronacji króla wychodzi z katedry w Rheims i zatrzymuje się na progu, jakgdyby na wezwanie odzywającego się do niej głosu. Księżna wystawia dzieła swoje pod pseudonymem: Manuela.

— W londyńskich rządowych szkołach gotowania, zakładanych przez ministerium wychowania publicznego dla użytku klas ludowych, uczy się obecnie 14.000 dziewcząt. Zarząd używa wszelkich środków ułatwiających tu przystęp, pragnąc powiększenia liczby uczennic. Szkoły takie zakładają się po wszystkich wielkich miastach państwa w wielkich ogniskach przemysłu i ruchu fabrycznego.

LISTA NAGRÓD na Wystawie Pracy Kobiet.

DZIAŁ I.

Dyplom zastugi: hr. Zyberk-Plater Cecylia z Warszawy, za całość okazów i wzorowy kierunek zakładu rękodzielniczego, prowadzonego przez nią.

Dyplom uznania: Emilia Huba z Nowej-Wsi, za całość pożytecznej i wzorowej produkcji.

Medale srebrne: Firma „Au bon travail“ z Warszawy, za hafty; Kazimiera Fijałkowska z Warszawy, za fabrykację pończoch; Emilia z Sołtanów Korsak z gub. Podolskiej, za wyroby domowe kartonowe.

Medale brązowe: Firma „A la Parisienne“ z Warszawy, za gorsety higieniczne; Aniela Gałęcka z córką Pelagią z Warszawy, za krój i dobre wykonanie sukien; firma „Wanda“ z Warszawy, za wyroby pończosznice; Felicja Muszkat z Warszawy, za dokładną robotę trykotaży; firma „Nelly“ z Warszawy, za wybór gorsetów; Marya Suchorzewska za skarpetki i koszulki wioślarskie; Jadwiga Chojcka ze wsi Zbuczyn, za wyroby domowe staranne; Ewa Rogozińska z Warszawy, za ogół starannie wykonanych okazów.

Listy pochwalne: Jadwiga Nostitz-Jackowska z Warszawy, za roboty pończosznice; Marya Przyłubka, za pantofelki; Marya Więckowska z Warsz., za pasy higieniczne; Michalina Brochocka z Warszawy, za kreplisy i balejezy; Paulina Szumlańska z Warszawy, za roboty fantazyjne włóczkowe derkowie; Eugenia Bielanowska z Warsz., za hafty; firma W. Weller i sp. z Warszawy, za kapelusze słomkowe; Bronisława Tomaszewska z Warszawy, za ortopedyczne wyroby mniejsze; Marya Bieżyńska z Warsz., za staranne wykończenie robót włóczkowych i za nowe ładne ścięgi; Józefa Kropiewnicka za gorsety; firma „Warszawianka“ za wyroby pończosznice; Paul. Reinschmidt za wyroby tkactwa domowego; siostry Badior z Warszawy, za wyroby trykotowe „Jersey“; Stanisława Schwartz z Warsz., za wyroby pończosznice; Halina Kurnatowska, za hafty białe; Jadwiga Maj z Warsz., za hafty białe; Apolonia Chęcińska z Warszawy, za serwetę szydełkową.

Świadectwo: Ksawery Głodziński z Warszawy, za dobrze przeprowadzoną szkołę kroju i szycia.

DZIAŁ II.

Potwierdzenie wielkiego srebrnego medalu: Wanda Siwińska z Warszawy, za kwiaty sztuczne.

Medale srebrne: Wanda Pomorska z Warszawy, za dobry wyrób pasmanteryjny; Halina Kurnatowska z Warszawy, za prace w różnych kierunkach; siostry Dukat z Warszawy, za dobre hafty; Józefa Bierzyńska z Warszawy, za wyhaftowanie ekranu.

Medale brązowe: Bronisława Popielawska z Warszawy, za wyrób gipiuru; Wanda Werner

z Warszawy, za praktyczne, tanie i staranne wykończenie robót szydełkowych; Cecylia Królikowska z Warszawy, za bardzo praktycznie wytłaczane aksamity; N. S. z Warszawy, za rysunek i własne desenie, oraz za wykonanie; Ksawera Jeżewska ze Skrwilna, za haft w guście maurytańskim; Ludwika Lichtańska z Warszawy, za peruki i czesanie, Zanders za koronki.

Listy pochwalne: Bronisława Jeziarska z Warszawy, za wyroby dżetowe; Wanda Grabowska z Warszawy, za gipiury; Marya Brzowska z Warszawy, za hafty; Ant. Stabrowska z Warszawy, za gipiury; Aleks. Rościszewska z Warszawy, za siatkowe wyroby; Melania Chorążyna z Warszawy, za haft; Tekla Mańkowska z Borówki, za ładną robotę; Paulina Niemira ze wsi Dobki, za dywan z kawałków; hr. Teresa Platerowa z Kartoman, za wyroby włóczkowe; Barbara Neer z Warszawy, za dywan; Helena Kurczyńska z Warszawy, za ramki i koszyki ze świerkowego drzewa; Aurelia Kosmalka z Warszawy, za siatki na konie; Marya Wolfheim z Warszawy, za staranne roboty szydełkowe; Zofia i Marya Czajewskie z Warszawy, za praktyczne czapki; Wanda Wróblewska z Warszawy, za gustowne firanki; Aniela Rzążewska z Łysowa, za karczki i gorsy do koszul szydełkowe; Marya Gawrońska z Warszawy, za koronkę; M. Menuel z Warszawy, za koronki; Romualda Guttman z Warszawy, za szal i wyszywanie na tiulu; Hoffman z Warszawy, za kapę gipiurową; Suchecka z Warszawy, za chusteczkę; Sawczyńska z Warszawy, za haft kościelny; Jadwiga Puszczałowska z Warszawy, za pas na fotel; Brillmann z Warszawy, za peruki i czesanie; Idalia von Ingersleben z Warszawy, za ornat i hafty kolorowe; Alexandra Hrycenko z Warszawy, za hafty na materyach; Anna Bojarska z Warszawy, za hafty kolorowe; Leokadya Antonowicz z Warszawy, za obrazy haftowane; siostry Grzmielewskie za koronki; Balbina Milhner za koronki.

Podziękowanie od komitetu Muzeum: Generałowa Czernicka z Warszawy, za pracowity wyrób koronek; hr. Cecylia Dąbska z Warszawy, za prześliczne koronki (zasługuje na wielki medal srebrny); Kamilla Miłoszyńska z Kleźni, za serwetę z sukna; Fanny Pozner z Warszawy, za koronki; Helena Kuszłowa z Warszawy, za haftowaną stulę; bar. Józefa Zachert z Warszawy, za wystawione okazy; Józefa Korwin-Piotrowska z Warszawy, za wystawione hafty z 1835 r., wykonane przez marszał. Grzywińską; Stefania Plebańska z Warszawy, za koronki „point lace“; Marya Kimens z Warszawy, za hafty; Ewelina Piłsudska z Warszawy, za ekran i chusteczkę, haftowane; Klementyna Jasińska z Warszawy, za wystawione koronki; Emma Jeleńska z Warszawy, za wystawione koronki; Emma Jeleńska z Warszawy, za portyery i chusteczkę koronkową; Paulina Jełowicka z Warszawy, za albę i stulę haftowaną; Helena Tyszkiewicz z Warszawy, za serwetę haftowaną; Władysława Małkowska z Warszawy, za ładne hafty; Zofia Jeżewska ze Skrwilna, za haft; Bernardowa Handtke z Warszawy, za haft na atłasie; Eugenia Bloch z Warszawy, za ekran haftowany.

Nagrody pieniężne: Hipolita Bielicka z Warszawy, za roboty szydełkowe rs. 10.

(Dokończenie nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson.

TREŚĆ: Pogawędka. — Wystawa pracy kobiecej. przez M. Ilnicką. — W Więzach, przez Anatola Krzyżanowskiego. — Alexandra des Bleschamps, przez M. I. — Nowiny paryżkie. — Kronika działalności kobiecej. — Lista nagród na Wystawie Pracy Kobiet.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою. — Варшава, 7 Іюня 1889 года.